

MRO CZNY THRILLER CZOŁOWEGO WŁOSKIEGO
AUTORA KRYMINALÓW

DONATO CARRISI

JESTEM
OTCHŁANIĄ



ALBATROS

Tytuł oryginału:
IO SONO L'ABISSO

Copyright © Donato Carrisi, 2020
All rights reserved

Wydanie oryginalne © Longanesi & C., Milano 2020

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Anna Osmólska-Mętrak 2022

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Zdjęcie na okładce: © Paolo Martinez/Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



7 czerwca

Napis wysoko w górze jest niepełny, brakuje mu kilku liter, inne są wykrzywione. Choć chłopiec ma dopiero pięć lat i nie chodzi jeszcze do szkoły, rozpoznaje G i H i wie, że kółeczko to zawsze O, kształt, który przybrały teraz jej zdziwione usta.

„Grand Hotel”, odczytuje mu Vera, wskazując na wysoki budynek, który czeka na nich w uśpieniu. Jego okna wyglądają niczym ślepe oczodoły. Na murach widać kruszące się długie bruzdy, wyżłobione przez suche łązy. Kolorowe napisy i rysunki, zamiast nieść radość, nadają kamienicy wygląd upokorzonego starca. Odgrodzone drewnianymi deskami drzwi wejściowe przypominają połamaną karuzelę. Niskie krzaki przebijają się przez asfalt placu niczym palce kościotrupów próbujących wydostać się z grobów.

Pośród chóru niewidzialnych cykad słysząc tylko stukot drewniaków Very i szuranie plastikowych bucików chłopca w podkoszulku i granatowych spodenkach. Dziecko nie jest w stanie dotrzymać jej kroku i ciągnie się z tyłu. Vera przeciwnie, kroczy bardzo pewnie na wysokich koturnach z błyszczącymi sprzączkami, wysmukła niczym flaming.

Blask słońca jest oślepiający. Ale chłopiec nie może się powstrzymać, by nie unieść pełnego podziwu wzroku na idącą przed nim kobietę. Vera nosi ciemne okulary w kształcie kocich oczu, trzy grube bransolety zsuwające się na łokieć, gdy przytrzymuje słomkowy kapelusz z czerwoną wstążką, który ukradli razem w sklepie z pamiątkami. To on przed wyjściem z domu poprosił, by włożyła ten kapelusz, a ona spełniła jego życzenie. Pod szortami i koszulką Vera ma bikini w zielone i żółte kwiaty, zupełnie jak gwiazda filmowa. Jej bardzo jasne puszyste włosy błyszczą w świetle poranka. Skórę ma miękką i gładką, z maleńkimi i uroczymi pieprzykami, które dostrzegasz tylko z bardzo bliska.

Chłopiec przygląda się jej i smutnieje. Czasami wydaje mu się, że nie zasługuje na tak piękną mamę. On taki rozlazły i niezgrabny, ona taka doskonała.

– No już, jesteśmy prawie na miejscu – ponagla go nieco poirytowana Vera.

Dieciak ma zadyszkę, chciałby poprosić, żeby choć trochę zwolniła, ale nie robi tego z obawy, że puści jego rękę i pójdzie dalej sama. Ten fizyczny kontakt jest tak rzadki, że aż trudno mu uwierzyć, że nie uwolniła się z jego spoconego uścisku.

Ale dzisiaj jest szczególny dzień.

Vera niesie zawieszoną na ramieniu dużą torbę, w której upchnęła ręczniki i obiad: dwie kanapki i coca-colę. Z torby dochodzi zapach mortadeli i pobrzękiwanie butelek.

Dziś czeka ich Wielka Przygoda.

Rozmawiają o tym od kilku tygodni. Propozycja wypłynęła od niej i już to było dosyć dziwne. Chłopiec myślał, że podobnie jak przy innych okazjach, Vera znów zapomni. Ale tak się nie stało. Złożyła mu obietnicę i

wszystko wskazuje na to, że właśnie dotrzymuje słowa.

Nic nie szkodzi, jeśli miejsce Wielkiej Przygody nie wygląda tak, jak sobie wyobrażał. Przynajmniej nie ma z nimi żadnego muszyska. Na ulicy zawsze się za nią oglądają, oblepiają ją tysiącem spojrzeń, lgną do niej i poszeptują niezrozumiałym i natrętnym głosem przypominającym brzęczenie much. Dlatego zaczął ich w duchu nazywać „muszyskami”. Chyba tylko ona nie dostrzega, że są jak muchy. Raz na jakiś czas któremuś z nich udaje się ją rozśmieszyć i wtedy zdarza się, że Vera wprowadza go do ich życia, nie pytając syna, czy mu to odpowiada. Ale dziś jest inaczej. Dziś nikt nie rozśmieszy jego matki do tego stopnia, że zapomni ona o swoim dziecku.

Dziś należy tylko do niego.

Zrozumiał już, że muszyska pojawiają się i znikają, żaden facet nie zostaje. Czasem to Vera jest nimi zmęczona, czasem dzieje się na odwrót. Zazwyczaj nie zwracają na niego uwagi i jemu to odpowiada. Lecz od czasu do czasu któryś go zauważa, zaczyna odgrywać ojca, choć nim nie jest, i postanawia go wychowywać. Wspomnieniem ostatniej lekcji jest znak pod pachą, pocałunek wypalony papierosem.

Chłopiec nie wie, kto jest jego prawdziwym tatą. Nigdy nie zapytał o to matki. Prawdopodobnie jeden z przelotnych fagasów. Jakieś brzydkie tłuste muszysko, które przed zniknięciem włożyło swoją brzydotę do brzucha Very. A on jest tego rezultatem. Może dlatego zabroniła mu, by mówił o niej „mama”. Nazywa ją tak tylko w myślach. Nie używają też słowa „rodzina”. Ale nawet Vera wie, że jeśli wydajesz na świat dziecko, musisz mu wytłumaczyć różne rzeczy, a także upewnić się, że potem się ich nauczy. Na przykład kilka tygodni wcześniej oglądali razem film i była

tam „rodzina”, która organizowała wycieczkę nad morze. Był chłopiec, taki jak on. Tata dał mu w prezencie maskę do nurkowania i zobowiązał się, że pokaże mu, jak jej używać.

Na tym właśnie polega Wielka Przygoda: Vera obiecała, że dziś nauczy go pływać.

Chłopiec nie ma kąpielówek. Kiedy jednak przed wyjściem z domu zwrócił jej na to uwagę, odpowiedziała:

– Nie potrzebujesz kąpielówek, majtki świetnie się nadadzą.

Teraz już go to nie obchodzi, tak też jest w porządku. Serce wali mu jak młotem, wchodzą razem między krzaki i deptając po kawałkach gruzu i rozbitego szkła, okrążają Grand Hotel i docierają na jego tyły.

– Co ci mówiłam? – rzuca Vera pełnym entuzjazmu głosem, wskazując na basen w kształcie fasoli.

Chłopiec puszcza bezwiednie jej rękę i staje jak wryty. Mimo że ma dopiero pięć lat, nauczył się już, jak bardzo bolesne może być obdarzenie własnej fantazji nadmiernym zaufaniem. Zwłaszcza jeśli ma to związek z pomysłami Very. Ale tym razem jest inaczej. Czuje, jakby w gardle utkwiał mu kamień.

Woda jest czarna. Wążki i jakieś małe owady latają nisko, muskając powierzchnię tafli, która wygląda jak przezroczysta taśma.

– No i co jest niby nie tak? – pyta zirytowana Vera.

– Nic. – Chłopiec próbuje udawać, ale wie, że nie jest wiarygodny.

– No dalej, co jest?

Ale on naprawdę nie jest w stanie ukryć rozczarowania.

– Możemy zawsze wrócić do domu – grozi Vera.

– Nie! – powstrzymuje ją szybko, obawiając się, że

wszystko popsuł. – Zostańmy – próbuje ją przekonać błagalnym głosem.

Vera patrzy na niego przez chwilę, po czym unosi brew za ciemnymi szklami i rozgląda się.

– Poszukajmy miejsca, żeby się poopalać – odzywa się w końcu, wyciągając z torby ręcznik. Rozkładają się na wolnej przestrzeni pomiędzy ustawionymi bezładnie połamanymi leżakami. Vera ściąga szorty i koszulkę i kładzie się na ziemi. – Nie rozbierasz się? – pyta. – No już!

Chłopiec zaczyna od spodenek i dopiero potem zdejmuje podkoszulek. Matka przez cały czas mu się przygląda, a on czuje się zakłopotany. Czeką, aż Vera powie jeden ze swoich żarcików: nazwie go tłuściochem lub grubasem. Ale tym razem tak się nie dzieje.

– A może wskoczysz do wody? – proponuje.

Oniemiały, odwraca się w stronę basenu.

Na widok jego reakcji Vera wybucha śmiechem. Ale to dobroduszny śmiech.

– Mam dla ciebie niespodziankę – mówi po chwili, wygrzebuując coś z torby.

Niespodzianka? Jej niespodzianki zazwyczaj nie są zabawne. Jak wtedy, gdy powiedziała, że wychodzi kupić mu prezent na urodziny, a zostawiła go samego w domu na trzy dni.

Vera pokazuje mu jednak parę rękawków do pływania.

– Założysz je na początek – tłumaczy i zaczyna je nadmuchiwać. – W ten sposób szybciej się nauczysz.

Chłopiec nie może uwierzyć. Vera co najwyżej coś dla niego kradła, gdy krążyli razem po sklepie albo supermarkecie. Zazwyczaj buty albo ubrania. Wszystko, co chłopiec ma, łącznie z nielicznymi zabawkami, pochodzi

z kradzieży albo są to rzeczy przez kogoś wyrzucone. Matka kończy nadmuchiwanie rękawków i pomaga mu je włożyć. Chłopiec przygląda się szczęśliwy pomarańczowym obwarzankom na swoich ramionach. Teraz musi się tylko zdobyć na odwagę, by wejść do wody.

– No, jesteś już gotowy – zachęca go Vera.

Dzieciak rusza ufnie, ale przystaje w pół drogi: nie widzi obok siebie cienia matki. Odwraca się i widzi ją wciąż siedzącą na ręczniku; przypala sobie papierosa.

– Ty nie idziesz? – pyta chłopiec.

– Skończę palić i zaraz przyjdę – obiecuje Vera. – Zaczynj pierwszy.

Wolałby poczekać i ona natychmiast to rozumie.

– Co jest... boisz się?

Nie podoba mu się jej ton. Ale Vera często go używa. Czasem zdarza się to w obecności któregoś z jej natrętnych jak muchy facetów i wtedy obydwójce nabijają się z chłopca.

– Nie boję się – oświadcza dzieciak, próbując okazać pewność siebie, bo nie chce popsuć tego dnia, i idzie dalej w stronę basenu. Dociera na brzeg, wysuwa stopę za krawędź i moczy duży palec w wodzie przypominającej galaretkę. Wie, że Vera na niego patrzy, czuje jej wzrok wbity między łopatki. Dlatego nie chce zbyt długo się wahać. Postanawia usiąść i zanurzyć nogi po kolana. Widzi, jak znikają w tym płynnym cieniu, i czuje łaskoczące zimno przebiegające w górę po spoconych plecach. Utraciwszy całkiem pewność siebie, zaczyna głęboko oddychać.

– Rękawki utrzymają cię na powierzchni – uspokaja go Vera. – Poza tym mam cię na oku.

Chłopiec szuka siły, by zanurzyć się w tej nieruchomej cieczy. Wie, że ma mało czasu. Czas jest sojusznikiem

strachu, nauczył się tego, kiedy Vera cisnęła w niego szklaną popielniczką, bo czuła się nieszczeniwa i dużo wypila. Jedna sekunda lęku kosztowała go przeciętą skórę za lewym uchem.

– Jeśli tego nie zrobisz, zaraz sama cię wrzucę do tego pieprzonego basenu – grozi Vera ponurym głosem, wypuszczając z ust obłok papierosowego dymu.

Dzieciak przymyka oczy i zbiera się w końcu na odwagę.

W pierwszej chwili idzie na dno, ale potem coś wypycha go do góry. Na szczęście rękawki utrzymują go na powierzchni tej czarnej zupy. Chłopiec ma jednak takie wrażenie, jakby basen się przebudził. Nie jest to przyjemne doznanie. Zaczyna więc ruszać gwałtownie nogami, bardziej by pozbyć się tego uczucia, niż żeby płynąć.

– Widzisz, że nie było to takie trudne? – mówi z wyrzutem Vera. – Teraz spróbuj trochę się pokręcić.

Trochę się pokręcić? Co to znaczy? On nawet nie wie, jak zmienić kierunek. Ale nie chce jej rozczarować. Dlatego stara się i wymachując też rękami, przemieszcza się na środek zbiornika. Fakt, że udało mu się pokonać ten krótki odcinek, napełnia go dumą. Lecz trwa to krótko. Wydaje mu się, że coś musnęło go od dołu. Może to coś próbuje go schwycić? Jakby pogłaskało go w kostkę. Chłopiec odwraca się gwałtownie, jakby chciał się uwolnić. Czy to ręka? Wydaje z siebie piskliwy krzyk, „dziewczyński”, jak powiedziałaby Vera, gdy tymczasem stopa zahacza o jakieś obce ciało, które wynurza się na chwilę obok niego, po czym zaraz znów znika. Sucha i sękata gałąź. Słyszy z oddali śmiech matki. Ale potem jego uwagę przyciąga coś innego. Czuje leciutki podmuch powietrza na policzku. Skąd się wziął? Odwraca się i patrzy na prawy rękawek.

W pomarańczowym plastiku widzi dziurkę.

To nieznaczące pęknięcie jest wystarczające, by z rękawka uszło całe powietrze. Kończyna ciąży mu coraz bardziej. Chciałby się mocniej odepchnąć, by wrócić w stronę brzegu basenu. Ale reaguje zbyt późno i z drugim ramieniem dzieje się to samo.

Ostatnie podparcia, jakie utrzymują go nad otchłanią, ustępują.

Miota się, mając całkowitą pewność, że brudna woda chce go przytrzymać. Podbródek co chwila się zanurza, mętna ciecz sięga mu już do ust. Basen nie chce go wypuścić. Pierwszą reakcją jest potrzeba zwrócenia uwagi matki na to, co się dzieje. Udaje mu się odwrócić głowę w jej kierunku i próbuje ją zawołać, wymawiając niemal w całości jej imię. Lecz scena, która staje mu przed oczami, budzi w nim grozę.

Vera podniosła z ziemi ręcznik i pakuje go do wielkiej torby.

Chłopca ogarnia strach. Sztywnieje i cały schodzi pod powierzchnię. Z trudem się wynurza. Szarpie się po omacku. Znów udaje mu się spojrzeć w stronę Very, która zdążyła już włożyć słomkowy kapelusz i ciemne okulary i teraz oddala się, odwrócona plecami; jej biodra kołyszą się, gdy kroczy spokojnie na koturnach z błyszczącymi sprzączkami. Jego dziecięce serce mówi mu, że to nie dzieje się naprawdę. Próbuje krzyczeć, wołać ją. Lecz w rezultacie łyka jeszcze więcej gorzkiej wody i traci oddech. Miota się, idzie pod wodę. Żeby poszukać Very wzrokiem, odchyła głowę do tyłu, lecz nic nie widzi. Poszła sobie. Nie ma jej.

Jego matki już tam nie ma!

Rękawki są sflaczałymi wypustkami. Chłopiec płacze i wywija ramionami. Z otchłani zaczynają wynurzać się

różne odpadki. Otaczają go. Plastikowe butelki, puszki, zardzewiały kanister, torby ze śmieciami. W rozpaczliwej próbie znalezienia ratunku chłopiec usiłuje chwycić się tych rzeczy, ale daremnie. Słyszy swoje stłumione pojękiwania, a po mokrej twarzy spływają ciepłe łzy. Panika eksploduje mu w brzuchu wraz z trwogą. Brzeg basenu jest blisko, a przecież bardzo daleko. Chłopca ciągnie w dół, ale udaje mu się jeszcze wydostawać na powierzchnię. Ile to potrwa? Następny oddech może być ostatni, wie o tym. Wierzga, nie chce się poddać. Miota się niczym ryba w ogromnej umywalce, próbująca nie dopuścić do tego, by wessał ją odpływ. Brzeg jest blisko. Ale niewystarczająco.

Niewystarczająco!

Czuje, że opuszczają go siły. Czuje, że sztywniejące od skurczów nogi odmawiają posłuszeństwa. Ręce już odpłynęły, prawie nie ma w nich czucia. Grubas tonie, grubas idzie na dno, powtarza sobie kpiącym głosem, jakiego Vera używała tyle razy, gdy chciała mu dokuczyć.

Ale dokładnie w tym samym momencie niespodziewanie coś odkrywa. Milczącą tajemnicę zamkniętą w nim nie wiadomo od jak dawna, może od zawsze, ukrytą pod wałkami tłuszczu.

Nieznaną siłę.

Ramiona, które uważał za bezwładne, wyciągają się same i uderzają z mocą w powierzchnię wody, stopy i nogi ożywają, dając mu decydujący napęd. Nie wie, skąd pochodzi ten instynkt. Jest tak, jakby ktoś inny przejął kontrolę nad jego niezdarnym ciałem. Głowa się wynurza, a on może złapać oddech. Płuca wypełniają się życiodajnym powietrzem. Jeszcze jeden zamach. Jeszcze jeden. Aż zderza się z cementową ścianą i chwytą śliskiego podparcia.

Pozostaje w tym miejscu, cały rozedrgany. Pobielające palce wbijają się w kafelki basenu. Wstrząsają nim spazmy, nad którymi nie jest w stanie zapanować. Mijają sekundy, a potem minuty.

Wokół niego rozbrzmiewa tylko obojętny śpiew cykad.

Wciąż uczepiony brzegu basenu, posuwa się ostrożnie w stronę zardzewiałej drabinki, w której brakuje kilku szczebelków. Wspina się po niej mozolnie i wydobywa z tej ciemnej studni. Jest gorąco, ale on czuje zimno. Między nogami spływa mu mocz, czego nawet nie zauważa. W uszach dudni tylko wzburzone serce.

– Mamo...! – woła po raz pierwszy zduszonym głosem.
– Mamo...! – powtarza pośród szlochów, nie przejmując się, że mogłaby go za to zganić.

Nie wie, co robić, nie wie, dokąd pójść. Jest pewny tylko dwóch rzeczy.

Matka zostawiła go samego. A on umie już pływać.

1

Najspokojniejsze miejsce na Ziemi.

Sprzątający mężczyzna przeczytał to w gazecie, którą ktoś zostawił na siedzeniu autobusu dawno temu.

Tytuł odnosił się do jeziora Como.

W rzeczywistości artykuł mówił o domach, nie o ludziach. Puste domy, znakomite okazje na inwestycje. Przynajmniej tak to zrozumiał. Nie był zbyt biegły w czytaniu i sens zdań często mu umykał. Ale te słowa i tak bardzo go uderzyły, więc postanowił uznać je za znak.

Myślał o tym też tego ranka późną wiosną, gdy rozpoczynał zbiórkę śmieci w otoczonej zielenią dzielnicy willowej.

Tarcza kwarcowego zegarka, której powierzył zadanie odmierzania czasu swojego życia, wskazywała dokładnie za dziesięć piąta. Było jeszcze ciemno. Na horyzoncie pojawiał się zarys jeziora, długa, srebrzystoczarna linia grafitu. Na krętej uliczce wspinającej się na wzgórze nie było żywej duszy. Oczywiście poza nim. Siedział za kierownicą niebiesko-zielonej furgonetki przedsiębiorstwa komunalnego, z szybko opuszczoną na tyle, że do środka wpadało rześkie powietrze, które nie rozwiewało jednak

jego mahoniowych włosów, starannie uczesanych z przedziałkiem na boku.

Sprzątający mężczyzna obserwował domy, wyobrażając sobie panującą w nich tajemniczą ciszę, sen mieszkańców strzeżony jeszcze przez kilka godzin ciepłem okrywających ich kołder. Młode pary, rodzice z dziećmi, starzy małżonkowie. Wszyscy w swoich łóżkach. Poza nimi byli też ci, którzy z takiego czy innego powodu nie mieli rodziny. Wdowcy, rozwiedzeni albo kobiety i mężczyźni, którzy nie spotkali w życiu nikogo, z kim mogliby zamieszkać. Ludzie samotni. Wielu z nich umierało bez spadkobierców, właśnie dlatego było tam tak dużo niezamieszkanymi domów.

„Najspokojniejsze miejsce na Ziemi”, podśpiewywał cicho. Ale też najbardziej samotne, choć nikt o tym nie mówił. Właśnie z tego powodu sprzątający mężczyzna postanowił przeprowadzić się właśnie tam. I teraz w tym morzu samotności znalazła się też jego samotność.

Zatrzymał się na poboczu i wyłączył silnik. Uważając, by nie naruszyć fryzury, włożył bejsbolówkę, na której widniało logo przedsiębiorstwa komunalnego. Wysiadł, zamknął powoli drzwi i natychmiast ogarnął go opiekuńczy spokój, jakby jemu też ktoś narzucił na plecy ciepłą kołdrę. Zdjął optyczne okulary w nikłowej oprawce, przetarł szkła brzegiem pomarańczowej kamizelki założonej na ciemnozielony kombinezon i nasunął je z powrotem na nos, by rozejrzeć się dookoła. Już wkrótce w niektórych oknach zapali się światło, co będzie pierwszym zwiastunem nadchodzącej masowej pobudki: już niedługo gorączka znów ogarnie świat.

Ale jeszcze nie teraz. Chwilowo to on był niekwestionowanym panem stworzenia.

Zostały mu dwie albo trzy minuty do rozpoczęcia zmiany. Postanowił wykorzystać je, nie zakłócając zbytnio tego stanu błęgiego bezruchu. Wykonywał banalne gesty, które o tej porze dnia nabierały innego, niosącego zaspokojenie znaczenia. Jak strzelanie palcami dłoni; ten słaby dźwięk, który zniknąłby pośród chaosu, wśród ciszy rozbrzmiewał ze wzmożoną siłą. Ale było coś, co lubił robić najbardziej: oddychać. Pełną piersią wciągnął i wypuścił powietrze. To jedna z małych życiowych przyjemności, wielu o niej zapomina albo nie zwraca na to uwagi. Natomiast sprzątający mężczyzna nauczył się ją doceniać w wieku zaledwie pięciu lat, gdy próbował go pochłonąć gnijący basen.

Poranne powietrze nadawało się do oddychania zdecydowanie najlepiej. Dlatego starał się zawsze, by przydzielono mu pierwszą zmianę. Jedną z korzyści, poza unikaniem spotkań z kolegami z pracy, było to, że mógł cieszyć się spokojem w samotności. Nie można się z nikim dzielić tak intymnym przywilejem. Sprzątający mężczyzna był milczkiem. Nawet kiedy myślał, jego rozważania były długimi refleksjami, przez głowę przebiegały mu nieme obrazy, którym towarzyszyły niemal pierwotne odczucia.

Zorientował się jednak, że jego introwertyczność wprawia ludzi w zakłopotanie.

Nie chciał swoją obecnością nikomu przeszkadzać. Nie jest przyjemnie przebywać obok kogoś, kto cały czas milczy, nie pali, nie pije alkoholu, nie jest zainteresowany rozmowami o sporcie czy kobietach, nie ma nawet żony i dzieci, na które mógłby ponarzekać. Człowiek bez przyjaciół, mógłby ktoś skonstatować. Człowiek, który ich nie potrzebuje, odpowiedziałby sprzątający mężczyzna, gdyby był w stanie wyartykułować to, co sam o sobie myśli.

Bo kiedy myślał o sobie, nie znajdował żadnej definicji.

Sprzątanie było tym, co określało go najlepiej.

Miał świadomość tego, jak negatywnie zwykli ludzie postrzegają jego pracę; choć rozumieją ideę, że ktoś powinien zajmować się ich śmieciami, to wyrażają milczącą litość wobec tych, którzy są tym obowiązkiem obarczeni. Tak jakby to był jakiś rodzaj przymusu albo kary. Jemu sprzątanie nie ciążyło. Nie przeszkadzały mu brzydkie zapachy ani konieczność dotykania tego, co dla innych było odpychające. Ktoś musiał przecież wziąć na siebie to niewdzięczne zadanie – to niepodważalne prawo życia.

W Como i na terenie wokół jeziora usługi te świadczone w sposób dyskretny. Wyglądało to trochę jak hokus-pokus. Każdej nocy, do wschodu słońca, armia pracowników przedsiębiorstwa komunalnego zaangażowana była w sprzątanie miasta przed przebudzeniem się jego mieszkańców. Trzy razy w tygodniu przed myciem ulic małe niebiesko-zielone furgonetki przejeżdżały od domu do domu i zbierały worki ze śmieciami, które wieczorem obywatele wystawiali skrupulatnie na chodnik. Hermetycznie zamknięte i w różnych kolorach, zależnie od zawartości, która miała zostać poddana recyklingowi, przekazywane były do selektywnej zbiórki według precyzyjnego harmonogramu.

Na czwartki wyznaczono bioodpady.

Kwarcowy zegarek wydał krótki elektroniczny sygnał: punkt piąta. Sprzątający mężczyzna mógł zacząć swoją zmianę. Wziął z furgonetki parę roboczych rękawic i włożył na dłonie. Potem, w chwili, gdy świt uwalniał się w oddali milionami iskier na powierzchni jeziora, mężczyzna ruszył pustą uliczką i zaczął zbierać worki wystawione przed furtki

domów. Gdy miał ich już w rękach wystarczająco dużo, wracał i wrzucał je pojedynczo z wyćwiczoną precyzją do skrzyni pojazdu. Robił to zupełnie bezgłośnie, był w tym bardzo skrupulatny. Następnie ugniatał je specjalnym kijem.

Przydzielili go do tej dzielnicy przed sześcioma tygodniami i – zgodnie z ustalonym porządkiem zmian – następnego dnia miał zmienić rejon. Było mu trochę przykro, bo przywykł do tego miejsca. Teraz będzie musiał gdzie indziej odtworzyć na nowo swoje drobne przyzwyczajenia.

Na przykład przez sześć tygodni za każdym razem, gdy docierał pod numer 23, zatrzymywał się, by popatrzeć na willę z początku XX wieku, z dziwnymi szpiczastymi oknami, pinaklami na dachu, otoczoną metalowym ogrodzeniem. Wyglądała jak połączenie kościoła z małym zamkiem. Koronkowe firanki były zaciągnięte, ale na szerokim parapecie można było dostrzec obok donicy z hortensjami dużą poduszkę, a na niej pięć zwiniętych w kłębek kotów. Jeden srebrzysty, jeden czarno-biały, jeden o pięknej rudawej sierści i dwa pręgowane.

Żegnając się z tym osobliwym budynkiem, sprzątający mężczyzna poprawił sobie palcem okulary, które osunęły się na nosie, po czym podniósł leżący przy furtce mały worek z bioodpadami.

Ważył ledwie parę kilogramów.

Como było najspokojniejszym i najbardziej samotnym miastem na świecie. W tym morzu samotności, poza jego osamotnieniem, była też samotność osoby zamieszkującej ten dom.

Wrócił do furgonetki, ale zamiast rzucić worek na stertę wraz z pozostałymi, otworzył drzwi i wsunął go pod

siedzenie kierowcy.

Po czym wsiadł, uruchomił silnik i ruszył dalej.

2

Około piętnastej słonecznego, ale chłodnego popołudnia, jak wielu innych pracowników, przebrany w cywilne ubranie, wychodził z zajezdni przedsiębiorstwa komunalnego, by wrócić do domu.

Właśnie tak widywało się sprzątającego mężczyznę: po zdjęciu stroju roboczego wkładał ubrania, które kupował w supermarkecie, wybierając te najmniej rzucające się w oczy. Preferował neutralne kolory. Zazwyczaj były to jasne dżinsy i wiązane ciemne buty, ciemnoszary sweter i niebieska albo biała koszula, do tego jasnoszara kurtka z poliestru z dopinanym kapturem na wypadek deszczu.

Tego dnia miał ze sobą czarną torbę na ramię.

Przesiadał się co najmniej cztery razy, by dotrzeć do peryferyjnej dzielnicy, w której mieszkał, choć wystarczyłby tylko jeden autobus. Nie miał specjalnego powodu, by wybierać tę okrężną drogę, był po prostu przezorny.

Wysiadł na tym co zawsze przystanku i idąc ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach, ruszył przez plac, który służył jako podwórze dla otaczających go bloków. Z torbą, objijającą się rytmicznie o biodro przy każdym

kroku, mijał chmary biegających za piłką dzieciaków, rozgrywających najróżniejsze mecze na zaimprovizowanych boiskach, które wyznaczono niepewnymi pociągnięciami kredy na asfalcie. Stojące przy murkach grupki kobiet paliły papierosy i rozmawiały między sobą albo przez telefon w niezrozumiałych językach, niektóre huśtając wózki, inne przesadnie gestykulując. Mężczyźni dyskutowali z boku, pozornie spokojniej, niemal wszyscy z piwem w ręce. Z głośników zaparkowanych samochodów z opuszczonymi szybami dobiegała mieszanka rytmów i melodii. Pośród tych hałaśliwych i krzykliwych ludzi sprzątający mężczyzna był obcy. To on był nieznajomy i powinien rzucać się w oczy. Tymczasem nikt go nie witał, nikt nawet na niego nie spojrział. Właściwie powinien powstrzymywać się od przechodzenia między nimi, by nie zostać zauważonym, ale już dawno zorientował się, że nic nie ryzykuje: jego obecność była całkowicie ignorowana, niczym pojawienie się karalucha na zabawie tanecznej. Kiedyś cierpiał z tego powodu, ale potem zmienił zdanie. Ile osób miało taką moc? To odróżniało go od zwykłych śmiertelników.

Jestem niewidzialny, pomyślał. Wszedł na jedną z klatek dużego bloku, na którego dachu umieszczony był zbiornik na wodę. Wsiadł do jedynej działającej windy i wjechał na siódme piętro. Jego mieszkanie było ostatnie w głębi wąskiego i ciemnego korytarza. By dostać się do środka, musiał otworzyć trzy zamki, które zainstalował tego samego dnia, gdy się tu wprowadził. Z kieszeni kurtki wyjął mały blaszany brelok w kształcie czołgu, z przyczepionymi do niego kluczami, i zaczął otwierać zasuwy.

Przekroczył próg i z uczuciem ulgi odciął się od świata pancerną przegrodą.

Przestrzeń do jego dyspozycji to ledwie dwa pokoiki i ciasna łazienka. Pierwsze pomieszczenie służyło za pokój dzienny i kąpiel kuchenny; była kanapa, która co wieczór zamieniała się w łóżko. Drugi pokój mieścił się za zielonymi drzwiami o trzech panelach z polerowanego mosiądzu.

Te były zamknięte na klucz.

Opierając się wciąż plecami o drzwi wejściowe, sprząający mężczyzna czekał. Zgiełk z osiedlowego dziedzińca docierał tu stłumiony wraz z odgłosami włączonych telewizorów, domowych kłótni i płaczu niemowląt. Ale już po kilku sekundach w jego głowie pojawił się przyjemny szum i wszystkie dźwięki zniknęły.

Przez okno sączyło się przyćmione światło, bo okleił szyby matowym plastikiem. Nie interesował go widok betonowych bloków, ale przede wszystkim nie mógł znieść myśli, że sąsiedzi mogliby go szpiegować. Kiedy jego oczy przyzwyczały się do ograniczonego oświetlenia, rozejrzał się uważnie, by sprawdzić, czy pod jego nieobecność nie było tu intruzów. Tylko ktoś zdolny przechodzić przez ściany mógłby się tu dostać, a potem wyjść bez kluczy, lecz instynkt i tak kazał mu wszystko skontrolować. Nie posiadał nic wartościowego, żadnego komputera czy telewizora. Ponieważ nie miał do kogo dzwonić, nie potrzebował nawet komórki. Jeśli chodzi o pieniądze, to przedsiębiorstwo przelewało mu pensję na konto pocztowe, z którego pobierał tylko niezbędne minimum. Niemniej jednak przeszkadzała mu sama myśl, że ktoś obcy mógłby naruszyć albo, co gorsza, zanieczyścić jego prywatną przestrzeń. Lecz wszystko było tak, jak zostawił, gdy o świcie wyszedł do pracy. Każda rzecz była dokładnie na swoim miejscu.

Przed wszystkim na stole pośrodku pokoju. Pod

obruszem w kwiaty schowane były różne przedmioty.

Sprzątający mężczyzna zdjął buty, wspinając się na piętach, i zostawił je ustawione równo przy wejściu. Dopiero potem wszedł do jedyne go pomieszczenia, z którego korzystał. Zrzucił z ramienia torbę, zawiesił na kołku na ścianie i podszedł do małej dwudrzwiowej szafy. Otworzył lewą część, zdjął ubrania, po czym niektóre ułożył na półkach, a inne powiesił. W samych niebieskich slipach i białych skarpetkach zatrzymał się na chwilę przed własnym odbiciem w lustrze, umieszczonym na wewnętrznych drzwiach szafy. Bezwłose i tłustawe ciało, zbyt szerokie biodra, piegowata cera usiana małymi znamionami, okulary krótkowidza i bardzo starannie uczesane rudawe włosy.

A może wskoczysz do wody?

Potrząsnął głową i zamknął drzwi szafy, by przegnać tę myśl. Wziął długi fartuch z ciemnego plastiku, założył go przez głowę i wrócił do czarnej torby. Bez pośpiechu odsunął suwak, zagłębił rękę w jej miękkim brzuchu i wyjął torbę z odpadami bio, którą zabrał rano spod numeru 23. Trzymając ją za jeden koniec, ruszył w kierunku stołu.

Podniósł wolną ręką obrus w kwiaty, odsłaniając to, co pod sobą skrywał.

Od lewej do prawej ułożono starannie na blacie w rzędach siedem otwartych puszek z karmą dla kotów i trzy opakowania chrupek, cztery przełamane ampułki środka na robaki dla kotów, słoiczek po przeterminowanym kremie przeciwzmarszczkowym z pożywką resztką na dzień, wyciśniętą do końca tubkę maści na cellulit, blister, w którym brakowało ośmiu tabletek na odchudzanie, podarte rajstopy wyszczuplające, kilkanaście plastrów do depilacji pokrytych ciemnymi włoskami, flakon farby do włosów w kolorze

platynowy blond, wykorzystany w trzech czwartych, zużyta różową szczoteczkę do zębów, dziewiętnaście zgniecionych paczek po papierosach mentolowych Vogue, niedziałającą już jaskrawozieloną zapalniczkę marki Bic, opróżnione trzy butelki po wódce marnej jakości, dwie duże plastikowe butelki po toniku, starą receptę na *lek przeciwlękowy Lorazepam 20 mg w kroplach do przyjmowania trzy razy na dzień*, trzy puste buteleczki po lorazepamie w kroplach, kartę do doładowania telefonu ze zdrapanym srebrnym paskiem, magazyny plotkarskie i plik paragonów, które spiął klamerką. W końcu pudełko zapalek z reklamą lokalu rozrywkowego.

Blue.

Sprzątający mężczyzna przyglądał się tym skarbowi zgromadzonym przez ostatnich sześć tygodni, pochodzącym z domu pod numerem 23. Wybrał te przedmioty z wielką skrupulatnością, odrzucając całą resztę i opierając się na prostym założeniu, które opanował na przestrzeni lat.

Śmieci wyrzucane przez człowieka opowiadają jego prawdziwą historię. Bo, w przeciwieństwie do ludzi, śmieci nie kłamią.

Wiele można wywnioskować z tego, co ludzie wyrzucają. W gruncie rzeczy dla sprzątającego mężczyzny był to sposób wchodzenia w relacje z innymi osobami. Lecz nie ze wszystkimi. Interesowały go wyłącznie jednostki podobne do niego.

Samotne.

Pod stołem była niebieska miska. Postawił ją na pustej części blatu i włożył do niej worek z bioodpadami. Otworzył jedną z szuflad szafki, wytarł spocone dłonie w fartuch, po czym naciągnął na nie lateksowe rękawiczki. Z szuflady

wyjął też nożyczki.

Po odcięciu wąskiej górnej części worka odwrócił go, żeby wysypać zawartość.

Żadnej niespodzianki: resztki posiłków z ostatnich dni jedynej lokatorki domu pod numerem 23 potwierdzały jej skromne nawyki. Sprzątający mężczyzna zaczął starannie oddzielać pozostałości czubkami palców w rękawiczkach, żeby lepiej im się przyjrzeć. Te resztki jedzenia, połączone z jakością przedmiotów leżących na stole, pozwalały się łatwo domyślić, że kobieta nie jest zbyt bogata. Potwierdzały to zresztą także paragony, które znalazł. Lecz jeśli dobrze się przyjrzeć, było tam coś więcej.

Historia ukryta w drobiazgach, dlatego prawie niewidoczna dla niewprawnego oka.

Sprzątający mężczyzna był dobry w odnajdowaniu tych ukrytych znaczeń, na tym polegał jego prawdziwy talent. Zbiór resztek, które miał w tej chwili przed sobą, składał się na portret osoby, która wolała karmić koty niż siebie. Alkohol i palenie nie były nałogami, a sposobem na znieczulenie smutku. Obsesja na punkcie wyglądu odślaniała rozpaczliwą próbę poprawienia własnej egzystencji, zanim będzie za późno. A jedynym sposobem ucieczki przed własnym poczuciem nieszczęścia była zazdrość o cudze szczęście, objawiająca się bezlitośnie na zdjęciach z magazynów ilustrowanych.

Niezależnie od tych wniosków tego dnia pojawił się inny istotny aspekt: bioodpady były dowodem na to, że przez sześć tygodni lokatorka spod 23 nie przyjmowała gości na obiedzie ani na kolacji i nikt nie odwiedził jej nawet na popołudniową herbatę czy kawę. Jej samotne posiłki odślaniały otchłań opuszczenia, którą kobieta wyczuwała

wokół siebie. A gdy nie wystarczało jej już interesowne uczucie kotów, prawdopodobnie szukała nieco ludzkiego ciepła w okazjonalnych znajomościach, jakie zawiera się zazwyczaj w trzeciorzędnych lokalach.

Takich jak Blue.

Sprzątający mężczyzna ściągnął rękawiczki, po czym wyjął z szuflady zeszyt w linie, z ołówkiem wsuniętym między kartki. Szybko przejrzał zeszyt, w którym przez kolejne dni notował wszystko, co znalazł w śmieciach kobiety. Ktoś mógłby powiedzieć, że nieładnie wtrącać się w nie swoje sprawy. Ktoś mógłby powiedzieć, że jest wścibski.

Jesteś małym, źle wychowanym szpiclem!

Odparłby, że to nieprawda, bo właśnie w ten sposób odzyskuje się zasoby do ponownego użycia, wprowadzając je na powrót do cyklu produkcyjnego. Szkło, metal, plastik, stal mogą dostać drugie życie. A to, co on robił, przyczyniało się niejako do funkcjonowania tego pozytywnego cyklu.

To, co wydobywał ze śmieci, było o wiele cenniejsze.

Dla porządku uzupełnił listę, przeświadczony, że tak czy owak osiągnął cel. Gdy zamknął zeszyt, poczuł satysfakcję z dobrze wykonanej pracy. Za chwilę włoży z powrotem bioodpady do torby, żeby potem je wyrzucić. Mógł już się pozbyć również reszty; wydobył z tych rupieci prawdziwą historię lokatorki spod 23. Tę, której prawdopodobnie nikt inny nie znał. I która być może nikogo innego nie interesowała. Uważał się za depozytariusza sekretnego życia ludzi. Ale ta kobieta mogła być spokojna: jej tajemnice były bezpieczne i zostaną użyte tylko w dobrym celu.

Miał już odłożyć zeszyt, gdy jego uwagę przyciągnęło coś, co połyskiwało w brei pozostałej na dnie miski. Pochylił się i pogrzebał czubkiem ołówka, aż wyłonił się kolorowy

fragment czegoś, co wcześniej mu umknęło. Ujął to w dwa palce, wytarł brzegiem fartucha, po czym podsunął sobie prawie pod nos, żeby się lepiej przyjrzeć.

Złamany paznokieć pomalowany czerwonym lakierem.

Przypatrywał mu się z oszołomieniem i zdumieniem. Było to coś o wiele ważniejszego niż zwykły odpadek. To była część tej kobiety.

Relikwia.

Delikatnie położył na stole paznokieć, który wydzieliał jakieś dziwne promieniowanie; z jego głębi dochodził sygnał, który sprzątający mężczyzna był w stanie w sposób bardzo wyraźny odebrać. Poczuł pewną ekscytację. Ten złamany paznokieć stanowił pierwszy prawdziwy kontakt z wybranką.

Sprzątający mężczyzna odwrócił się w stronę zielonych drzwi. Znów czuł się gotowy przestąpić ten próg.

Nadeszła chwila, by zdać relację Micky'emu.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).